

Tuszkowy i Lipusz. Wspomnienia

Gdy latem spędzamy z żoną wakacje nad morzem, zawsze staramy się wpaść choćby na godzinę do Lipusza „miejscowości –podobnie jak i Tuszkowy - na Kaszubach, na zachód od Kościerzyny. Obydwie miejscowości i moi żyjący tam krewni trwale zapisali się w mojej pamięci, gdyż tak Tuszkowy jak i Lipusz oraz żyjący tam krewni są ściśle związani z moimi i mojego ś.p.brata Włodka dziecięcymi i młodzieńczymi przeżyciami w latach wojny i po wojnie.

Dlaczego Lipusz i Tuszkowy.

Otóż Lipusz był siedzibą mojego pradziadka ze strony matki – Józefa Męcikalskiego. Mieszkał on w dworcu na skraju Lipusza, który istniał do niedawna. Dzisiaj stoi tam współczesny budynek gospodarski. Gospodarował na 40 ha piasków.

Ze swoją pierwszą żoną spłodził moją babcię, Wandę i syna Floriana, który zmarł w wieku 4 lat, a po śmierci prababci (w wieku 30 lat), ożenił się ponownie i z następną żoną spłodził jeszcze 5 dalszych córek: Franciszkę, Rozalię, Stefanię, Zofię i Bogusławę oraz czterech synów: Władysława, Gracjana, Leona i Józefa.

Babcia Wanda Męcikalska (moja córeczka, Małgosia w wieku 3-4 lat wymieniała jej nazwisko jako „Męczykichańska”) podobno nienajlepiej była traktowana przez swoją macochę i ojca .Wyszła za mąż za Władysława Ostrowskiego – mojego dziadka ze strony matki i raz na zawsze opuściła swój dom rodzinny w Lipuszu. Chyba nigdy więcej nie widziała swojego ojca i swojej macochy, a mój pradziadek żył ponad 90 lat ! W sercu jej pozostała widocznie jakaś silna zadra.

Przyrodnie siostry babci Wandy, znacznie od niej młodsze, powychodziły za mąż za okolicznych kawalerów (podkreślam osoby, które osobiście poznałem, zaś pogrubiam imiona osób, na które będę się dalej powoływał) :

1. Franciszka - za Jana Rolbieckiego, gospodarza w Tuszkowach gdzie miał on przydomek „Szlachcic”. Miała z nim znów wiele dzieci: **Jadwigę**, **Leona**, Jana, Edwarda, Jacka , Stacha, Stefana, Józefa i **Janinę**
2. **Rozalia** – za Władysława Landowskiego – krawca i „złotą rączkę w Lipuszu, z którym miała pięcioro dzieci: Huberta, Zygmunta (zwanego „Józ”), Józefa, **Bogusławę** i **Eugenie**
3. Stefania – za Stoltmana , z którym miała córkę Eugenię i mieszkali także w Lipuszu
4. Zofia – za Józefa Reitera, który zmarł w wieku 28 lat. Z kolei wyszła za mąż za brata Józefa – Antoniego, z którym początkowo mieszkali w Lipuszu, w dworcu po swoim ojcu, Józefie – protoplaście rodu, a pod koniec życia przeprowadzili się do Kościerzyny. Małżeństwo to było bezdzietne . W drugiej połowie lat 40-tych adoptowali oni niemowlę – dziewczynkę, której nadali imię Zofia. To dziecko, gdy dorosło i dowiedziało się, że jest dzieckiem przybranym, zamiast jeszcze bardziej kochać swoich rodziców, podobno okazywało im niechęć i stale było z nimi skonfliktowane.

Szczegółów dotyczących dalszego przyrodniego rodzeństwa mojej babci, Wandy nie podaję, bo osób tych nie poznałem i tylko czasami je wspominano. Pewne szczegóły dotyczące rodziny mojej babci, Wandy zawarte są zresztą we wspomnieniach mojego wujka Jerzego Ostrowskiego (brata mojej Matki) zamieszczonych na naszej rodzinnej stronie internetowej p.t.”Genealogia Rodziny Ostrowskich”

Gdzieś ok. roku 1905 mojemu dziadkowi, Władysławowi Ostrowskiemu zaproponowano pracę w Stargardzie Szczecińskim (całe Pomorze należało wówczas do Niemiec) i tam urodziła się moja Matka, Waleria i jej młodsza siostra, Elżbieta. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości w 1918 roku, rodzina Ostrowskich powróciła w strony rodzinne i osiedliła się w Kościerzynie, a później w Bydgoszczy. Szczegóły zawarte są także w w/w wspomnieniach wujka Jerzego .

Po wybuchu II. Wojny Światowej i epopei mojej Mamy ze mną i moim bratem Włodkiem, którą opisała w liście do mnie, Jerzego (także na internetowej stronie rodzinnej) zamieszkaliśmy w Gdyni, w suterenie domu przy ul. Zakopiańskiej 17.

Przypuszczam, że wojenne problemy z aprowizacją, które dla mieszkańców miasta zachowujących obywatelstwo polskie były szczególnie dotkliwe sprawiły, że moi rodzice „przypomnieli” sobie o krewnych żyjących na wsi. W każdym razie związki naszej rodziny z krewnymi w Lipuszu i Tuskowach zaczęły się w czasie wojny. Gdy Ojciec jako ranny wrócił z niewoli, zaczął uprawiać bardzo niebezpieczny proceder „hamstrowania” (= chomikowania przez co Niemcy uważali nie ograniczanie się do bardzo nędznych dla Polaków przydziałów kartkowych i „pozyskiwanie” artykułów żywnościowych na wsi dla siebie i na dalszą sprzedaż). W moich „Wspomnieniach z dzieciństwa” na w/w stronie rodzinnej wspominam m.in. wspólną z Tatą podróż pociągiem do Lipusza, gdy konduktor nie wierząc Ojcu, że mam mniej niż sześć lat (bo dzieci do 6 lat mogły być przewożone bezpłatnie), a ja de facto miałem już 7 lat (!), mierzył mnie rękami. Na szczęście długo byłem raczej drobnym dzieckiem i tym razem „upiekło się”. Cytuję także relację mojego Ojca z jego przygody na peronie dworca w Gdyni gdy, wracając z Lipusza wysiadł z pociągu z dwiema wypchanymi wiktuałami teczkami, zatrzymany został przez Schupo (policjanta) z pytaniem, co niesie w tych teczkach. Mój Ojciec, pod którym ugięły się nogi bo uznał, że przyszła „kryśka na Matyska” i że lepiej od razu powiedzieć całą prawdę, wydukał po niemiecku: masło, słoninę, mięso....Z kolei Schupo zaskoczony taką odpowiedzią, bo była ona równoznaczna z zesłaniem do obozu koncentracyjnego, po niemiecku zareagował: „No, przestań pan żartować. Idź pan dalej !” . W każdym razie więzy naszej rodziny z potomkami drugiej żony pradziadka Męcikalskiego zaczęły się w czasie wojny pogłębiać i przetrwały aż do dzisiaj, a więc ok. 65 lat (!) z tym, że nasze kontakty w czasie wojny ograniczały się, o ile sobie przypominam, do rodziny Rolbieckich w Tuskowach, zaś powojenne – przede wszystkim do rodziny Landowskich, a potem do ich dzieci: Lasków i Kobusów.

Tuskowy

W latach 1943 i 1944 spędziliśmy tam jakiś czas ferie wakacyjne: pierwszy raz z Mamą, drugi raz z Ojcem. Miałem wówczas odpowiednio 7 i 8 lat, a Włodek, mój brat był o rok młodszy.

Wujostwo Rolbieccy mieli duże gospodarstwo i gospodarzyli na znacznym obszarze ziemi. Byli także właścicielami dwóch jezior i znacznych obszarów leśnych. Żeby zachować gospodarstwo musieli przyjąć tzw. Volkslistę, jak zresztą większość gospodarzy co spowodowało, że pod koniec wojny ich dwaj synowie powołani zostali do wojska niemieckiego.

Do oddalonych od Lipusza o kilka kilometrów Tuskowych trzeba było dotrzeć z Lipusza na pieszo piaszczystą drogą przez las obfitujący w grzyby. Dzisiaj wiedzie tam wyśmienita szosa, którą przejeżdża się samochodem w kilkanaście minut.

Pamiętam duży dom Rolbieckich, w którym żyło się, jak za dawnych czasów: jadali tylko własne produkty: mięso z zabijanych świń i kur, wyroby nabiałowe z własnych krów i kur, ryby z własnych jezior. Chleb pieczony był raz na tydzień w specjalnym piecu. Odzież wykonywana była głównie z własnej przędzy wełnianej wzgl. lnianej, zaś przędzę przędła ciocia lub jej córka Jadwiga, którą pamiętam jako śliczną panienkę. Biedna zmarła na tyfus w wieku 21 lat tuż po wojnie. Przędły bardzo sprawnie na drewnianym kołowrotku. Masło produkowały (ubijały) w specjalnej masielnicy. Nie było prądu i wszystko trzeba było wykonywać ręcznie. Tak zresztą było jeszcze jakiś czas po wojnie. Pomagaliśmy wujostwu w pracach żniwnych, pieliliśmy ziemniaki i chodziliśmy z Jadwigą do lasu na grzyby i po

wszelkie inne runo leśne. Tu muszę zrobić dygresję, że w owych czasach na Kaszubach zbierano głównie kurki i prawdziwki, ew. też rydze. Innych grzybów nie ruszano i nazywano je pampcami, takimi niby jadalnymi, ale bezwartościowymi. Mam nadzieję, że w międzyczasie Kaszubi nauczyli się zbierać także pampcie, ot choćby tylko po to, aby je sprzedać mieszczuchom, którzy za nimi przepadają.

Po wojnie dowiedziałem się, że Jadwiga zaopatrywała w jedzenie partyzantów „Gryfa Pomorskiego” (pomorskiej ekspozytury AK), do których należeli także wujowie Hubert i Zygmunt Landowscy oraz Józef Męcikalski, syn mojego pradziadka, którzy mieli swoje bunkry – ziemianki w okolicznych lasach. W tym celu musiała odbywać wielokilometrowe niebezpieczne wędrówki.

Hubert Landowski i Józef Męcikalski zginęli 26. maja 1944 r. w niemieckiej akcji przeciw partyzantce. Przeżył Zygmunt Landowski – „Józ”, który po wojnie opowiadał nam o życiu w partyzantce i o przeprowadzanych przez jego oddział akcjach. Nie były to akcje na dużą skalę, bo krucho u nich było z bronią, ale dawali się we znaki okolicznym Niemcom. Pod koniec wojny dołączył do nich w charakterze łącznika z Armią Czerwoną radziecki skoczek spadochronowy z radiostacją. Nie pomogło to jednak wujkowi Zygmuntowi po wojnie: wielokrotnie musiał się „spowiadać” przed powojenną służbą bezpieczeństwa, UB.

Po zabiciu Huberta, Niemcy wzięli odwet na jego rodzicach i rodzeństwie, którzy zostali zesłani do obozu koncentracyjnego w Potulicach. Obozu tego nie przeżył najmłodszy Landowski: Józef.

Wracam do Tuskowach.

Dla nas, dzieci mieszczuchów życie na wsi miało wiele uroku. Mieliśmy z bratem dużą swobodę, co kiedyś mogło się tragicznie skończyć, bo Włodek postanowił przejść niby strumyk łączący obydwie jeziora nie po drewnianej kładce, tak jak ja, ale wodą i byłby się utopił, bo okazało się, że niby płytkie dno było bardzo głębokim mułem. Na szczęście przechodził tuż obok kładki i w ostatniej chwili za nią uchwycił. Pomogłem mu wydostać się z mułu, umył się z resztek mułu i pamiętam, że o tej przygodzie nic Mamie nie powiedzieliśmy.

Wspaniale było chodzić w stodołach po sianie i słomie, a czasami spać na słomie.

Z pobytu w Tuskowach pamiętam także, że raz poszliśmy do wiejskiej, niemieckiej czteroklasowej szkoły, w której dzieci z różnych klas uczyły się jednocześnie w tym samym pomieszczeniu. Jak sobie nauczyciel dawał z tym radę, no i jakie były efekty takiego nauczania – nie wiem. W każdym razie czteroklasowe szkoły wiejskie to w owych czasach była norma. Chłopom nie zapewniano lepszej edukacji tak, jak po wojnie i dzisiaj.

Z wakacji spędzonych w Tuskowach z Tatą pamiętam, że wraz z synami Rolbieckich łowiliśmy kiedyś z łódki ryby w ich jeziorze. Byłem zgorszony, że Rolbieccy, już dorośli młodzieńcy kapali się w jeziorze nago. Nago także zresztą biegali po domu.

Już kilka lat po wojnie z wujkiem Zygmuntem odwiedziliśmy w Tuskowach Leona Rolbieckiego, który w międzyczasie założył nową rodzinę i mieszkał w gospodarstwie niedaleko gospodarstwa swoich rodziców.

Leon opowiadał mi o swoich przeżyciach w wojsku niemieckim:

Otóż dostał się (na szczęście) na front zachodni. Wojna zbliżała się do końca. Drużyna, w której był Leon, miała okop na zboczu wzgórza z widokiem na pobliską szosę. Gdy pod wieczór na szosie ukazały się amerykańskie samochody z białymi gwiazdami na boku, do drużyny przybiegł łącznik z niemieckiego dowództwa odcinka z rozkazem do natychmiastowego wycofania się i dołączenia do jednostki. Żołnierze w drużynie byli przeważnie zniemczonymi Kaszubami. Dogadali się, że nie ma sensu wycofywać się i trzeba tę wojnę skończyć. Zostali więc przez noc w okopie i nad ranem poszli do gospodarstwa na pobliskim wzgórzu, a tam Amerykanie. Żołnierze niemieccy rzucili karabiny i z podniesionymi rękami

zblizali się do gospodarstwa. Amerykanie, którzy byli w negliżu, myli się pod pompą, byli kompletnie zaskoczeni, ale przyjęli poddających się żołnierzy niemieckich i odstawili ich na tyły. Stamtąd zostali odesłani drogą morską do obozu jenieckiego w Anglii.

W obozie było mnóstwo jeńców niemieckich. Po kilku dniach zjawili się w obozie przedstawiciele polskiego wojska na zachodzie i polecili, aby żołnierze pochodzenia polskiego wystąpili. Wystąpiło wielu, w tym Leon. Zaraz zostali zawiezieni do innego obozu, gdzie przydzielono im polskie mundury i oświadczone, że od tej chwili są żołnierzami polskimi. Nikt ich nie pytał, czy chcą nimi być czy nie. W taki sposób Leon stał się polskim żołnierzem.

Na front już nie pojechał, bo wojna akurat się skończyła i gdy powstała możliwość powrotu do Ojczyzny, natychmiast z niej skorzystał. I tak opuścił Tuskowoy w mundurze niemieckim, a powrócił w mundurze polskim, tzw. andersowskim.

W przeciwieństwie do wielu innych naszych rodaków, którzy w mundurach andersowskich powrócili po wojnie do kraju i z tego powodu byli w taki czy inny sposób prześladowani przez władze komunistyczne, o czym piszę także w moich wspomnieniach na stronie rodzinnej, „Gdynia po wojnie”, „zagubiony” w Tuskowach Leon żył tam na swoim w spokoju i mam nadzieję, że jeszcze żyje.

Z najmłodszą córką Rolbieckich, Janiną, która obecnie mieszka z rodziną w Lipuszu, a z którą jako dzieci bawiliśmy się w czasie pobytów w Tuskowach, po wojnie zetknąłem się tylko raz i to przelotnie

Po wojnie bywałem jeszcze niejednokrotnie w Tuskowach, czy to jako młody człowiek, gdy z Włodkiem rozbiliśmy namiot nad jeziorem wujostwa, czy też przejazdem z moją pierwszą żoną i córeczką Dorotą, gdy spędzaliśmy wczasy w Sominach – wsi na południe od Tuskowych. Kiedyś, przejeżdżając przez Tuskowoy samochodem niezbyt byłem pewien, czy jadę do Somin właściwą drogą. Zatrzymałem się obok gospodarstwa, by zapytać pracującego w ogrodzie starszego pana. Ten odpowiedział mi czystą kaszubszczyzną, która mi wtenczas zabrzmiała jak muzyka. Jakby nie było jestem pół-krwi Kaszubem. Język kaszubski dobrze pamiętałem z dzieciństwa. Potem jednak szkoła, kościół i wszechobecne radio, a potem i telewizja sprawiły, że młodsze pokolenia zaczęły mówić względnie literackim językiem polskim. Wprawdzie młodzież dzisiaj przeważnie zna kaszubski, ale raczej na zasadzie jakiegoś języka egzotycznego, którym czasami popisuje się przed mieszczuchami. Dzisiaj konduktor z nadjeżdżającego pociągu nie zawoła już na dworcu w Kościerzynie: „Koscerzyna, wyskakiwac !”

Lipusz

Część powojennych wakacji spędzaliśmy już nie w Tuskowach, a w Lipuszu u wujostwa Landowskich. Mieszkali oni w wybudowaniach w kierunku wsi Papiernia zwanych „Grajewo”, a to stąd, że podwórze gospodarstwa Landowskich było latem ulubionym miejscem zabaw tamtejszej młodzieży, w czasie których na skrzypcach w towarzystwie kolegi przygrywał „Józ” - Zygmunt Landowski. Obok Landowskich mieszkali Stoltzmanowie, sto metrów w bok – Rajtrowie. Wszystko „rodzina”.

Dzisiaj Grajewo bardzo się rozbudowało, ale nadal mieszkają tam nasi krewni: Bogusia i Jan Kobusowie – w domu po rodzicach Bogusi – Landowskich, a w pobliżu ma swój dom rodzina córki Kobusów, Haliny Turzyńskiej !

Zmienił się także krajobraz pomiędzy Grajewem a Papiernią. Kiedyś rozciągały się tu rozległe pola gospodarza Sikorskiego – dawniej jedyne sąsiada Józefa Męcikalskiego.

Pola obydwu niezbyt były urodzajne: piaski, ale w czasach „komuny” w czasie „walki z obszarnictwem” musieli odstępować Państwu po państwowych cenach wyznaczone kontyngenty płodów rolnych i płacić podatki tak, jak za ziemię najwyższej klasy. Następca pradziadka Męcikalskiego – Antoni Rajter długi czas nie poddawał się, ale Sikorski nie wytrzymał. Skorzystał z przepisu, że od ziem zalesionych nie trzeba oddawać kontyngentów i płacić podatków i większość swoich ziem zalesił. Było to gdzieś 50 lat temu. Dzisiaj jedzie się do Papierni przez piękny, wysokopienny świerkowy las. A ile w nim runa leśnegoOj chyba dobrze na tym wyszli spadkobiercy Sikorskiego !

Początek naszym długoletnim kontaktom z rodzina Landowskich dał chyba przyjazd do nas na kilka dni do Gdyni, więc przed 1950 r. Geni i Zygmunta Landowskich. Zygmunt starał się o posadę nauczyciela w szkole na Obłuzu – dzielnicy Gdynii o ile pamiętam, przez pewien czas w niej pracował.

Z wakacjami w Lipuszu-Grajewie wiążą się moje najmilsze wspomnienia:

- a to z pasania krów z moją rówieśnicą Genią, córką Landowskich,
 - a to ze spania na słomie nad oborą, a gospodarstwa pilnował pies Tusek,
 - a to z jazdy na oklep na koniu wujka Rajtera
 - a to z łowienia w Czarnej Wodzie raków, których tam było mnóstwo (a dzisiaj od dawna ich już nie ma bo zatrąły je pestycydy, którymi obsypywano pobliskie pola). Raki łowiliśmy tzw. więciorkiem – specjalną siecią na raki, a godzinami stojąc po pas w wodzie i poznawszy zwyczaje ryb, tymże więciorkiem łowiliśmy także ryby, szczególnie szczupaki. Nasz rekord wyniósł kiedyś 11 różnych ryb w ciągu jednego dnia.
- Do dzisiaj Genia śmieje się z nas, że gdy łowiliśmy raki, Włodek wszedł na drzewo, którego gałąź się ułamała i wpadł do wody.

Bardzo miłe wspominać wujostwo Landowskich: ciocię Rózię – dziarską staruszkę i wujka, wyglądającego bardzo dziarsko, gdyż nosił wąsy w stylu Wilhelma II, zakręcone w górę. Dla nadania wąsom odpowiedniego kształtu, po porannej toalecie zakładał na wąsy tzw binde, która utrzymywała kształt wąsa.

Do Lipusza często w wakacje jeździliśmy z Włodkiem. Pamiętam wycieczkę tam z naszym kolegą, gdy wzięliśmy ze sobą namiot – piramidkę. Pierwszą noc spędziliśmy na Górze Zamkowej wcinającej się w jezioro Lubiszewskie (dzisiaj już jej nie ma, piasek z niej posłużył gospodarzom dla ich potrzeb). Coś w tej legendzie o zamku na tej górze jest prawdopodobne, bo łagodnie opadała w stronę łąd i na jej zboczach rosły zdziczałe... porzeczki !Być może kiedyś była bardziej wysunięta w jezioro i kiedyś po prostu nastąpiło jej osunięcie w jezioro (?).

Na jej szczycie rosła sosna, do której gałęzi podwiązaliśmy czubek naszego namiotu (dla uniknięcia zastosowania masztu). Trafiliśmy na bardzo silną burzę z piorunami. Trochę baliśmy się, czy piorun nie uderzy w tę wysuniętą sosnę i w nas, ale jakoś szczęśliwie to się skończyło, natomiast rano dowiedzieliśmy się, że piorun uderzył w stodołę wujostwa Rolbieckich, która spaliła się wraz z nowymi zbiorami !

Następną noc spędziliśmy już w namiocie w pobliżu domostwa wujostwa Rajtrów. Po wyjściu z namiotu napisaliśmy na nim kredą: „7 – nie kradnij”, gdy wróciliśmy znaleźliśmy dopisek: „8 – bierz co dopadniesz”, ale nic nie zginęło. To Genia zrobiła nam takiego psikusa.

Do Lipusza pojechałem potem, w 1961 r. w podróż poślubną z moją pierwszą żoną, Danutą. Byliśmy gościnnie przyjęci na kilka dni przez Genie i jej niedawno poślubionego męża, Jana Laskę w ich nowym domu. Na inną podróż nie było nas stać. Byliśmy biedni, jak myszy kościelne. Ślub brałem w przenicowanym ubraniu, a wesele odbyło się w ścisłym gronie naszych najbliższych znajomych w jednopokojowym mieszkaniu moich teściów w drugiej oficynie na ul. Chmielnej 22 w Warszawie. To były zupełnie inne czasy niż dzisiaj ! Do wszystkiego dochodziło się stopniowo.

Potem jeszcze nie raz byliśmy z Danką u Lasków i wiem, że już po rozstaniu się ze mną, także ich odwiedziła.

Nasza córka, Dorota kontynuowała tradycje przyjaznych kontaktów z Laskami, którzy także dorobili się już dwóch synów Jarka i Waldka, a potem córeczki Edyty, dzisiaj już dorosłych i żonatych wzgl.

zameżnionych ludzi, którzy swoich rodziców obdarzyli licznymi wnukami, a nawet prawnukiem ! A ja mając 46-letnią córkę Dorotę, 25- letniego syna Wojtka i 23 letnią córkę, Małgosię nadal nie mam nawet wnucząt !

Dorota odwiedziła wujostwo Lasków przynajmniej dwukrotnie.

Z drugą żoną, Elżbietą od pewnego czasu odwiedzamy Lasków i Kobusów i ich córkę prawie rok-rocznie. Mam i mamy duży sentyment do ich stron i do nich samych.

Z Wojtkiem, kilkuletnim chłopcem, odwiedziłem ich raz w czasie podróży służbowej po Kaszubach i także przynajmniej raz z Małgosią – w ub.roku.

Rewizyt jakoś się nie doczekaliśmy. Janek Łaska przez pewien czas chorował, a Genia wołała jeździć z chórem kościelnym po świecie i Śląsk im nie w głowie !. Dzieci już „ustawili” i mogą myśleć o własnych przyjemnościach.

Gdy dzisiaj spotykam Lasków i Kobusów, trudno mi się przyzwyczaić do myśli, że Genia i trochę od niej starsza Bogusia, ich mężowie, no i ja jesteśmy już starszymi, jeśli nie starymi ludźmi ! Dobrze, że chociaż pozostały nam na zawsze miłe wspomnienia !